

MOLIER MIMO WOLI

TADEUSZ BUSKI

665

Na koniec sezonu we Wrocławiu weszła na afisz Teatru Polskiego komedia Moliera „Mizantrop” w przekładzie Jana Kotta jako postulowana przez tłumacza próba „odkulturowania” tego zawsze aktualnego utworu.

Ubranie bohaterów klasycznej komedii we współczesny kostium oraz uwspółcześnienie ich mowy może mieć swoje zalety i wady. Zaletą niewątpliwą jest to, że współczesny kostium jest tańszy od historycznego, co — przy pułkach na widowni — wydaje się racjonalną oszczędnością. Ekonomia teatralna nie jest jednak taka racjonalna. Ponieważ państwo do każdego widza dopłaca, najbardziej ekonomiczny w naszych warunkach jest teatr, który w ogóle widza nie ma i nie musi produkować przedstawień; wystarczyłaby tylko kasjerka, która każdemu potencjalnemu widzowi wypłacałaby za pokwitowaniem należną mu dopłatę. Widz otrzymałby swoje na rękę bez konieczności oglądania przedstawień.

W takiej sytuacji jednak nie byłoby podstaw, aby płacić aktorom, reżyserom i całej technicznej obsłudze teatru. Dlatego też teatry mimo wszystko przedstawienia

robić muszą. A że przymus nie jest najlepszą motywacją twórczą, nader często przedstawienia te bywają doskonale obojętne tak twórcom, jak i publiczności.

Może obszedłbym się zbyt srogo z twórcami wrocławskiego „Mizantropa” twierdząc, że jest im cała ta praca obojętne, co do widzów dałbym niemal głowę, iż tak właśnie jest. Wybitny utwór największego europejskiego komediopisarza, grany przez aktorów, którzy mają w swoim dorobku nie jedno rzeczywiste osiągnięcie, wydaje się na kameralnej scenie piaski i — co tu ukrywać — nudnawę. Dlaczego? Pytanie „dlaczego?” powinno być przede wszystkim stawiane przez realizatorów. I to nie jedno „dlaczego”, lecz co najmniej kilka. Dlaczego Molier, dlaczego „Mizantrop”, dlaczego w tym przekładzie, dlaczego we współczesnym kostiumie? Co i komu teatr chce przez ten spektakl powiedzieć czym widza ubawić i czym go poruszyć? Odpowiedzi na te i dalsze pytania ma udzielić spektakl w takim, a nie innym kształcie.

Nie wątpię, że w teatrach podczas pracy nad spektaklami, w trakcie prób analitycznych i dalszych, aż po nadanie widowisku ostatecznego kształtu stawia się takie pytania i na nie (przynajmniej werbalnie) odpowiada. A mimo to jako widz często odnoszę wrażenie, że zostałem oszukany, że to wszystko jeśli było, było pozorowane, otrzymuję przedstawienia spreparowane z chłodną profesjonalną obojętnością. Lubię profesjonalny chłód i dystans u chirurga, gdy mi wycina ślepą kiszczkę, nie toleruję czegoś podobnego u artysty.

Mizantrop molierowski, gdyby przypadkiem ktoś nie wiedział, to taki facet, który nie cierpi obłudy, mówienia „czarne” na „białe” lub odwrotnie tylko dlatego, że tak nakazują konwenanse albo tego się właśnie od nas oczekuje. Mizantrop nie uznaje „układów” i przeważnie z tego powodu obrywa z różnych stron. Taki dziwak w czystej postaci właściwie nie występuje poza klinikami psychiatrycznymi. Dlatego też molierowski Alceste jest postacią z krwi i kości, urealnioną. Życie stawia go


wobec prób, którym trudno jest sprostać, pozostając konsekwentnie wiernym swoim najgłębszym przekonaniom. Tak się bowiem składa — wiedział to Molier wieki przed Freudem — że człowiek to nie tylko rozum, charakter i zbudowane na tej bazie przekonania i zasady, ale również podświadome kłębowisko emocji, instynktów, namiętności.

Molierowski „Mizantrop” jest nade wszystko głębokim, intuicyjnym, wyprzedzającym o setki lat osiągnięciem nauki studium psychologicznym, ukazującym zarówno sprzeczności natury ludzkiej, jak i społeczne uwikłania jednostki. Jako takie jest ono rzeczywiście wciąż aktualne, nawet za każdym razem aktualne niejako na nowo i cokolwiek inaczej. Ale do tej aktualności droga prowadzi poprzez psychologiczne drażnienie postaci, nie przez zewnętrzność. Kostium czy nowoczesne wnętrza mieszkalne nie ma tutaj wiele do rzeczy.

Aktorzy we wrocławskim przedstawieniu zawiedli mnie nie dlatego, że niewiele — jak to się mówi — pokazali. Owszem pokazali, że potrafią wykańczać etudy, pointować sceny, że są profesjonalistami i wiedzą jak wykonywać zadania „stąd — dotąd”. Nie zaprezentowali natomiast tego, co mógłbym przyjąć jako przemyślaną i konsekwentnie przeprowadzoną psychologiczną koncepcję poszczególnych postaci. Może właśnie dlatego względnie korzystnie na tle więcej umiających koleżanek i kolegów wypada Małgorzata Dobrowolska, że jest zbyt niepewna siebie i swojego zadania. Wygląda to na paradoks, ale paradoksem — gdy się zastanowić — być nie musi.

Odnotujmy fakt zmienny: kolejna klasyczna pozycja w repertuarze teatrów wrocławskich i kolejny brak satysfakcji. Nie wychodzi ani „po bożemu”, ani po nowemu. Kiedyś uczono mnie, że prawdziwy artysta nie robi ani tak, ani tak, tylko po swojemu. Dzisiaj uczą inaczej?

Teatr Polski (Scena Kameralna): „Mizantrop” Moliera w przekładzie Jana Kotta. Reżyseria: Maria Straszewska. Scenografia: Marek Dobrowolski. Kostiumy: Krystyna Kamler. Opracowanie muzyczne: Zbigniew Piotrowski. Premiera 18 sierpnia 1962 r.



KRÓLESTWO ZA KONIA...
DOŁOŻE, TALON NA
BRYCZKĘ!

Rys. A. L. Włoszczyński